Po konfiskacie nakład 2-gi.

SZCZERBIEC

DWUTYGODNIK

WYCHODZI 10 i 25 KAŻDEGO MIESIĄCA

Rok V Nr. 21. Warszawa, 11 sierpnia 1930 r. Cena Nr. 40 gr.

ORLIM SZPONEM

CUD WISŁY

DRGAŁ w posadach cały ludzki świat, kiedy odradzało się państwo polskie. Jeszcze walczono na morzach, w powietrzu i ziemię zlewano obficie krwią miljonów, kiedy w państwie carów, w olbrzymie, zajmującym jedną szóstą globu ziemskiego, rozszalała rewolucja.

Zrzuciwszy w porywie jarzmo okupacji, odparłszy zamach ruski, zwycięsko walcząc o wolność ziem naszych zachodnich, w krwawym trudzie obejmowaliśmy własne dziedziny w swoje władanie — kiedy rozpalony w Rosji pożar przewrotu zagroził nam zatratą. Paliły się Węgry i Bawarja, tliły się całe Niemcy. A w Polsce palnych materjałów było poddostatkiem. U progu nowego życia stanęliśmy wobec śmiertelnego niebezpieczeństwa zaguby.

Wówczas to naród polski okazał swoją siłę. Stwierdził, że w niewoli nie znikczemniał i zdobywał w walce orężnej prawo do wolnego życia. Tysiące młodzieży ochotniczo śpieszy pod broń, tysiące Polaków, oficerów i żołnierzy polskich formacyj ochotniczych i armij zaborczych, samorzutnie staje do walki z wrogiem. Lwów najpierwszy. Obok tych najzasłużeńszych pracują w obronie kraju kolejarze, pracują kobiety. Organizują do walki elitę siły narodu i kierują nią na polach bitew ś. p. Tadeusz Rozwadowski, Józef Haller, Józef Dowbór-Muśnicki, Stanisław Szeptycki, Stanisław Haller, Kazimierz Sosnkowski, Jan Wroczyński, Józef Leśniewski, Eugenjusz de Henning Michaelis, Czesław Mączyński, Stanisław Taczak, Lucjan Żeligowski i in. Naczelne dowództwo sprawuje Naczelnik Państwa, Józef Piłsudski.

Przez cały rok 1919 szczęśliwie odpieraliśmy najazd, biorąc zwycięsko pod mocną pieczę oręża polskiego Poznań, Wilno, Lwów i Małopolskę wschodnią.

Nadchodzi rok 1920 i przełom zasadniczy w charakterze wojny: z wojny narodowej o wolność i granice państwa, przechodzimy do wojny „niosącej wyzwolenie ciemiężonym przez Rosję narodom”, w przymierzu z tymi, których w roku 1918 do Kijowa wprowadzali Niemcy i Austrjacy.

Koncepcja polityczna, z której wyrosła wyprawa kijowska, jest przyczyną naszego załamania się wojskowego. Wywołuje ona odruch patrjotyczny w Rosji, sprawia zupełne odosobnienie Polski na terenie międzynarodowym wśród zwycięskich państw sprzymierzonych, dla których Rosja była nieszczęśliwym sojusznikiem, dotkniętym trądem bolszewizmu.

Zahypnotyzowane politycznemi zamysłami Naczelne Dowództwo, nie zdało należycie egzaminu. Z winy kierownictwa ulegamy przewadze na północy; z winy kierownictwa ulegamy niepobici dezorganizacji na południu. Następuje załamanie się moralne żołnierzy, utrata zaufania do kierownictwa. Wojsko w niepowstrzymanym odwrocie, kraj na skraju przepaści.

Skąd przychodzi ratunek? Przedewszystkiem wstrząs moralny w narodzie i przejaw jego woli życia w postaci tysięcy ochotników, których znaczną część stanowią weterani wojny światowej. Zasilają te tysiące zdemoralizowane, szczątkowe nieraz oddziały walczące, tworzą nowe jednostki, pozwalają odtworzyć siły stracone w odwrocie. W składzie wyższych dowódców stają generałowie: Józef Haller (front północny z zadaniem obrony stolicy), Włodzimierz Zagórski (szef sztabu frontu północnego), Marjan Januszajtis i in.

Obok Naczelnego Wodza stają do owocnej współpracy generał Rozwadowski (szef sztabu Naczelnego Dowództwa) i generał Weygand. Rozpoczyna się walka na serjo o całość Polski.

Zmieniony u góry stan rzeczy wprowadza decyzje planowe i celowe. Nie zaskakują one, przestają być cegłą, wypalaną pod osłoną konspiracji, rzucaną znienacka na głowę wojska i społeczeństwa. Uderzywszy mocno głową o twardy mur rzeczywistości naginamy się do pracy w nowym zespole, której wynikiem decyzja historyczna przeniesienia wojny nad środkową Wisłę. Zmierzała ona do oderwania armij polskich od przeciwnika i przegrupowania ich w tyle w ten sposób, by bronić najuporczywiej stolicy, ufortyfikowanej przed przewidywanemi tu natarciami głównych sił bolszewickich, osłaniać się na północy słabą 5-tą armją, a na południu, za Wieprzem skoncentrować masę manewrową i rzucić ją na flankę i tyły nieprzyjaciela, prącego na Warszawę.

Plan był wielki, choć ryzykowny niezmiernie.

Kierownictwo czerwonych armij zaślepione zostało długotrwałem powodzeniem. Lekceważyło opór polski w obronie Warszawy. Uważając mylnie siły polskie za niezdolne do walki poważnej, wódz frontu zachodniego Tuchaczewskij dążył do obejścia Warszawy od północy, odcięcia „gniazda reakcji polskiej" Poznania od łączności z zachodem przez Gdańsk. Na południu wódz frontu południowo - zachodniego Jegorow zaniepokoił się aktywnością białych oddziałów Wrangla na Krymie, a na polskim froncie dążył do opanowania Lwowa i do zagrożenia możliwej interwencji rumuńskiej. Naczelny wódz bolszewicki Kamieniew, chociaż widział niebezpieczeństwo rozchodzenia się wysiłków bolszewickich w walce z Polską w dwóch rozbieżnych kierunkach, nie potrafił zapewnić kooperacji frontów.

Zwarli się przeciwnicy. Na słabą armję generała Sikorskiego runęła nawała sił głównych wroga. Uprzedza cios 5-ta armja, występując zaczepnie. Walczy bohatersko, z 18-tą dywizją piechoty na czele (dowódca gen. Krajewski, szef sztabu płk. Arciszewski). Na silną obronę Warszawy uderzają bolszewicy oddzielnemi dywizjami, zaniedbując zorganizowania natarcia. Pomimo to odnoszą częściowe powodzenie (Radzymin). Polska grupa uderzeniowa za Wieprzem jest zbytnio oddalona (o 3 dni marszu) od głównych sił wroga, zagrożona uderzeniem czerwonej armji konnej od południa.

Szczęście nam sprzyja. Najkrwawsze boje armji 5-tej odnoszą zwycięstwo nad głównemi siłami bolszewików, 1-sza armja broni skutecznie Warszawy. 15-y sierpnia jest dniem przełomowym. Taran bolszewicki został osadzony na miejscu i skruszony.

16 sierpnia rusza na północ bez przeszkód ze strony Budiennego masa manewrowa z nad Wieprza. W drugim dniu spiesznego marszu rozbija mężna 14 dywizja piechoty (1-sza wielkopolska) lewoskrzydłową dywizję armji bolszewickiej, atakującej Warszawę. W następnych dniach ta masa manewrowa gromi i niszczy niemal doszczętnie wraz z dywizjami frontu północnego, przy udziale całej ludności kraju armje najezdnicze.

Najzupełniejsze zwycięstwo staje się naszym udziałem.

Wojna zwycięska z Rosją sowiecką zakończyła wiekowe walki polsko - rosyjskie. Wynik jej otuchą napełnia nasze serca. Męstwo polskich żołnierzy, patjotyzm całego narodu, przejawione w roku 1920 pozwalają spokojnie oczekiwać rozprawy — z Niemcami.

Z KRAJU

CIENIE I ŚWIATŁA

Rok 1920 — rok ciężkich klęsk wojennych i wspaniałego zwycięstwa polskiego nad bolszewikami jest dla psychologa bogatem polem doświadczalnem; w przebiegu przejść tragicznych tej chwili dziejowej ujawniły się z niesłychaną wypukłością szczyty i niziny duszy polskiej.

Zima i początek wiosny tego pamiętnego roku nie zapowiadały doniosłych wypadków, na dalekich kresach wschodnich toczyły się zwykłe walki partyzanckie a wewnątrz kraju trwały zacięte spory na podłożu klasowem. Szczęśliwa narazie wyprawa na Kijów zelektryzowała społeczeństwo, wywołała wybuch entuzjazmu, dała folgę jednej z cech polskiego charakteru — próżności; gromadzące się na północno-wschodnich rubieżach ciężkie chmury lekceważono.

Dopiero nieszczęsna bitwa 4 — 5 lipca nad rz. Autą i generalny odwrót naszych armij na Białej Rusi zaniepokoiły społeczeństwo, a niepokój ten wzrósł jeszcze bardziej gdy pod naciskiem konnego korpusu Budiennego załamała się tak błyskotliwa operacja kijowska i wojsko polskie rozpoczęło przyśpieszony odwrót ku granicom Polski, dokonywany z dużemi stratami w warunkach niesłychanie ciężkich.

Groza klęski wojennej zawisła nad krajem, żołnierz znużony ciągłym odwrotem walczył coraz słabiej, oddziały dezorganizowały się, a w społeczeństwie zapanowało zdenerwowanie i sceptycyzm, oskarżano się wzajemnie, szukano winnych. Trwożliwi uciekali po cichu, inni pokładali jedyną nadzieję w interwencji koalicji lub paktach z bolszewikami, a przecie jawnem było, że pogrom zupełny Polski był kamieniem węgielnym cichej ugody Sowietów z Niemcami.

W tej krytycznej chwili powstał wreszcie rząd jedności narodowej, a na czele jego stanął chłop, spodziewano się w ten sposób pociągnąć do szeregów masy właściańskie słabo reagujące dotychczas na zbliżającą się klęskę i ogłoszono zaciąg ochotniczy, wyłoniono na wniosek marszałka sejmu W. Trąmpczyńskiego obywatelski Komitet Obrony Państwa.

Pomimo słabego uświadomienia narodowego ogółu ludności dał on wyjątkowo dobre wyniki — w ciągu dwunastu tygodni przyjęto do armji ochotniczej 105 tysięcy ludzi ale cyfrę tę należy powiększyć o 25%, gdyż wielu ochotników wstąpiło bezpośrednio do polowych oddziałów.

Ogółem napływ ochotników był nierównomierny, największy w pierwszych czterech tygodniach poboru (74%), spada on następnie szybko. Okręg warszawski dał najpoważniejszą cyfrę ochotnika 26,9%, Lwów — 16,1%, Łódź — 12,6%, Poznań — 11,5%, Kraków — 10,8%, Kielce — 9,5%, Pomorze — 7,9%, Lublin — 4,7%; należy jednak pamiętać, że na terenie okręgu lubelskiego dużo instytucyj w tym czasie uległo ewakucji, co przeszkodziło przeprowadzeniu zaciągu i prowadzeniu propagandy.

Stosunek liczby ochotników do cyfry zaludnienia pozostawia na pierwszem miejscu Warszawę; za nią idą — Pomorze, Poznań, Łódź,

Kraków, Lwów, Kielce, Lublin; dane co do Lwowa i Pomorza są chwiejne, w pierwszym nie stawiło się do zaciągu 65% Rusinów, a na Pomorzu zgłosili się masowo kresowcy i ewakuowani urzędnicy.

Ochotnicy według wyznań dali: chrześcijanie 96,9%, niechrześcijanie 3,1%. W Warszawie zapisało się do armji ochotniczej: chrześcijan— 7061, niechrześcijan — 209; ze średniem wykształceniem — 3504, z wyższem — 72.

Według zawodów: *uczniów — 1717*, urzędników — 717, rolników — 510, handlowców — 481, *robotników — 780. Z niechrześcijan 95% stanowią uczniowie szkół średnich.*

Harcerstwo polskie stawiło się do służby w pełnym składzie — 30 tysięcy wraz z całym aparatem administracyjnym i instruktorskim; chłopcy od lat 17 w górę poszli do służby frontowej, młodzi oraz wszystkie harcerki — do służby pomocniczej, garnizonowej, sanitarnej.

Falą ruszyły do wojska drużyny szkolne, rzemieślnicze i wiejskie po kilku dniach stanął zorganizowany i wyćwiczony pułk ochotniczy, w którym harcerze stanowili 75% — 80% stanu; większość została rozsypana po kilkudziesięciu pomiędzy pułkami. Młodzież harcerska była tak przygotowana do służby wojskowej pod względem duchowym i ogólnego wyszkolenia wojskowego, że po kilku dniach ćwiczeń w koszarach wykazała doskonałą sprawność, podciągnęła szybko nieprzygotowanych ochotników do swego poziomu.

Stawiła się również licznie *klasa robotnicza*, stanęła do apelu kobieta polska, ale nie zawsze w charakterze właściwym jej przyrodzeniu— służba z karabinem sprzeciwia się jej słabym siłom fizycznym.

Z ludności polskiej najsłabiej był reprezentowany w zaciągach ochotniczych element włościański słabo uświadomiony narodowo. Najgorzej jednak przedstawia się sprawa udziału mniejszości narodowych, ściślej mówiąc żydów, *po za sferą uczniowską nie dali oni prawie zupełnie ochotnika.*

Wśród zaciągu włościanie stanowili — 15%.
rzemieślnicy i rolnicy — 35%.
inteligencja — 50%.

Cyfry powyższe są tak wymowne, że nie potrzebują komentarzy z wyjątkiem jednego — zbawiennego przełomu w psychice zdemoralizowanego żołnierza dokonali wyłącznie ochotnicy, wśród których większość stanowiła młodzież ledwie wyrosła z wieku chłopięcego, ożywiona gorącą wiarą i ofiarnem poświęceniem. Nie pomogłyby najlepsze plany strategiczne, gdyby ta młodzież nie natchnęła żołnierza wolą zwycięstwa, ona jest tym bohaterem, który w pamiętnym roku zbawił Polskę, jej więc należy się główna wdzięczność i cześć społeczeństwa.

Z WALK W R. 1920
(wspomnienie uczestnika)

Działo się to już po przełamaniu pierwszego impetu ofensywy Tuchaczewskiego, wszczętej w połowie maja 1920 r. w kierunku Połock — Mołodeczno. Zagrożone z północy od strony linji kolejowej Wilno—

Dźwińsk przez armję rezerwową siły bolszewickie zaczęły się cofać do swoich podstaw wyjściowych z przed ofensywy, unikając umiejętnie zniszczenia.

Szliśmy w pościgu za nimi, rozzuchwaleni powodzeniem, rozgrzani codziennem zwycięstwem, nie bacząc wiele na ubezpieczenie się należyte i nie oglądając się na boki.

Zapadł pogodny, czerwcowy wieczór. Szerokim traktem z Dołhinowa do Dokszyc, ujętym z każdej strony w dwa szpalery płaczących brzóz, szedł nasz pułk pośpiesznym marszem.

W zacisznej ciemności pod złączonymi u góry koronami drzew przydrożnych sunął długi wąż ludzki... W tej niewidocznej dla oka rzece ludzkiej słychać było półgłośny szept prowadzonych rozmów, i gdzieniegdzie iskrzył się tlejący papieros.

Od czasu do czasu te dwa tysiące ludzi, oddanych w tej chwili własnym myślom i sprawom, przystawały, aby zaczekać, zanim kompanja techniczna, idąca na przedzie, złoży mostek, rozebrany przez bolszewików.

Na jednym z takich postojów rozkazał mi dowódca bataljonu, przy którym pełniłem służbę adjutanta, podjechać ku przodowi i wymiarkować, jak długo potrwa naprawa, bo właśnie kucharze meldowali, że kawa w kuchniach polowych gotowa.

Ruszyłem stępa na czoło pułku. Właśnie znoszono deski pomostu, które udało się cudem wyszukać pociemku. Zsiadłem z konia, aby lepiej ocenić, na jak długo tu będzie roboty.

W rękach żołnierzy zamigotały topory i wraz rozległy się pierwsze uderzenia. Jakieś dziwne echo poszło wzdłuż drzew, jakiś dziwny niepokój zadrżał dokoła.

A w sekundę potem gdzieś zbliska, zprzodu, z paru metrów nieledwie buchnął łomot i straszliwy trzask bezładnych strzałów, i runęła w twarz świszcząca ulewa kul karabinowych. Wzdłuż traktu ryknął chrapliwym szczekiem karabin maszynowy i... urwał, widocznie zaciąwszy się. Z lewej i prawej siekły kulami po drzewach, inne maszynowe karabiny, odwalając całe płaty kory i istne żniwo gałązek na głowy.

W mgnieniu oka pułk, który przed chwilą jeszcze stał z bronią u nogi w czwórkowej kolumnie na trakcie, przestał istnieć jako organizacja. Tłum ludzki, uderzony znagła gradem pocisków, rozprysnął się i przywarł do ziemi, po krzakach. Głębokie rowy przydrożne wypełniły się kłębowiskiem ciał. Na trakcie leżeli tylko zrzadka żołnierze, jękiem dający znać, że zostali trafieni.

A tymczasem ogień od przodu nie słabł ani na chwilę. Po rozbłyskujących gęsto długą linją ognikach wystrzałów widać było, że pułk natrafił na dobrze obsadzoną linję, której końca ni z lewej ni z prawej wymiarkować nie było można, a do której było nie dalej jak ze 100 metrów.

Przez czas, którego określić nie podobna, leżąca masa ludzka trwała w milczeniu. I było coś straszliwego i groźnego w tej cichej, niewidnej w gęstym mroku, gromadzie, ponad którą tuż tuż o parę cali śmigały długie serje ognia karabinów maszynowych.

W tem ktoś, do dziś tego niewiadomo—kto, krzyknął: „n—ta (również niewiadomo—która) kompanja, naprzód!" I wraz nad całem polem i po zagajniczku wzniósł się okrzyk: naprzód! Kto żył, starając się innych przekrzyczeć, ryczał swój numer kompanji i darł się: „naprzód"!

Ostatecznie, i tak bywa, że czasem jest lepiej uciekać... naprzód, wprost na nieprzyjaciela?

A więc ten i ów zrywał się, i rychło zaroiło się dookoła od ciemnych postaci, pomykających chyłkiem w ulewie kul ku przodowi. Z naszej strony nie strzelał nikt, tlały jeno mętnym błyskiem noże bagnetów, wydobywanych z pochew.

I byłby się jedyny ten w swoim rodzaju, bezładny szturm udał! Już się porano z napotkanemi pociemku zagrodami drutów kolczastych, wyrywając pale z ziemi i siekąc druty łopatkami, nożycami i czem kto miał. Niezadługo z pół tysiąca naszego chłopa już było w bolszewickich okopach, skąd uciekała strwożona tą furją załoga. Zaczęły już nawet rzednąć strzały nieprzyjaciela, gdy wtem ztyłu, przebiegły z ust do ust wyrazy: „Rozkaz, wszyscy wtył, cofać się..!"

Wczesny świt czerwcowy zastał już nasz pułk o kilometr wtył od miejsca naszej przygody. Od nieprzyjaciela dzieliło nas wzgórze, na które łagodnie wspinał się trakt, aby za szczytem opaść ku okopom bolszewickim. Wysunięte oddziały pułku czuwały na wzgórzu. Po nocnem zamieszaniu kompanje już były uporządkowane. Pozostał jeno jakiś wstyd, coś jakby wyrzuty sumienia.

Rozkazy do dalszej bitwy wydał sam dowódca dywizji. Przypadł konno ze szczupłym sztabem, zebrał dowódców bataljonów. Zdaleka widać było, że mówił coś gwałtownie... Oficerowie milczeli... Znać było, że niewesołe rzeczy mówił generał... Skończył, dosiadł konia i zmierzał ku spoczywającym kompanjom. Spodziewaliśmy się, że stanie się coś nieoczekiwanego!

Jakoż zajechały traktem dwie kolumny próżnych wozów taborowych i stanęły... Dowódca dywizji dobył szabli i krzyknął: „Chłopcy! taborami zdobędziemy tę pozycję, pierwsza i druga kompanja na wozy!"

Dwie kompanje skoczyły na wozy, i dziwna ta kolumna ruszyła w tumanie kurzu galopem do ataku. Ale zaledwie pierwsze wozy dotarły do szczytu wzgórza i ruszyły ku dołowi, rozgrzechotała się ogniem karabinowym cała długa linja okopów bolszewickich, i wraz zachichotały górą armatnie pociski, rozkwitły kłębki sinego dymu w przestworzach, rozległ się huk i setki szrapnelowych kulek sypnęły, jak groch, po trakcie. Dopiero rozpoczęło się zamieszanie, konie stawały dęba, woźnice śpiesznie wykręcali z powrotem, piechota w rowach szukała schronienia!

O powodzeniu tego ryzykanckiego ataku na wozach mowy być nie mogło. Ze wzgórza widać było już teraz w promieniach wschodzącego słońca, jak na dłoni, bezkresną linję okopów, opatrzoną dwoma rzędami zasieków z drutu kolczastego. Jako tako zamaskowane dawały się jednak odróżnić dość wyraźnie urządzenia flankujące, schrony, rowy łącznikowe. Słowem mieliśmy przed sobą pozycję według wszelkich reguł sztuki wojennej. A zdala zaczynały nadlatywać pociski licz-

nej artylerji nieprzyjacielskiej, polowej i ciężkiej, ryjąc leje i sypiąc garściami szrapneli.

Bój o tę pozycję, bój prawidłowy, wchłonął siły całego pułku. Kilka bateryj naszych polówek i haubic grzmiały przez cały dzień. Kolejno kompanje rozwijały się w lewo i prawo od traktu i posuwały pracowicie naprzód, zrazu biegiem, później skokami, wreszcie docierały, czołgając się na odległość dwustu metrów od nieprzyjaciela. Tutaj skończyły się krzaczki zagajnika i zaczynała się gładka łąka, na którą niepodobna było wychylić nosa. Ze starannie przykrytych blindażami strzelnic ziały ogniem karabiny maszynowe rosyjskie. Tyraljery nasze zakopywały się w ziemię i trwały. Nad światem przelatywał z krańca w kraniec bełkot olbrzymiego boju karabinów i armat. Zdawało się, że gotuje się woda w jakimś straszliwym kotle olbrzymów.

A tymczasem słońce zaczynało się chylić ku zachodowi. Coś należało czynić, aby opór wroga przełamać i pójść naprzód.

Lecz jeszcze nie koniec był dziwom tego niezwykłego dnia. Na szczyt wzgórza wypadło w galopie, z grzmotem żelaza, dzwonieniem stali, świstem batogów i wrzaskiem żołnierzy — działo! Jak na pokazowych ćwiczeniach odprzodkowane w ogniu, zaprzęg konny pomknął co tchu z powrotem, a obsługa z za tarczy stalowej, jęła z odległości 400 metrów pluć granatami prosto w czarne czeluście karabinów maszynowych! Była to chwila kiedy, zdawało się, że masa naszej piechoty zaryta na przedpolu poderwie się i ruszy na bagnety. Aliści jeszcze bardziej tylko wzmógł się grzmot, huk, trzask i łomotanie.

Wtedy przyszła kolej na trzecią broń — na kawalerję. Był tam przy dywizji jakiś szwadron strzelców konnych, nie ułanów wprawdzie, więc bez lanc i chorągiewek, ale za to w srogich hełmach stalowych, w niebieskich hallerowskich mundurach i na dzielnych koniach.

Szwadron ten stał za górką na trakcie i czekał. O nowej Somo-Sierra napewno nie myślał. A jednak... Oto pędzi ku nim adjutant generała. Dopada... Dosiedli koni... Pałasze błysnęły w powietrzu, i szwadron zrazu stępa, potem kłusem a wreszcie galopem skoczył naoślep czwórkami, minął szczyt wzgórza i runął traktem ku okopom. Jezus! Marja! Pędzą jak potępieńcy! Dwa rzędy zasieków wpoprzek traktu! Teraz dopiero zawyły paszcze wszystkich dział nieprzyjacielskich! Teraz dopiero całe gałęzie poczęły padać, obcięte szeregiem kul z wszystkich karabinów. Na trakcie i koło niego wyrosły całe drzewa z dymu i piasku, wyrzucane eksplozją granatów! I wraz zaczęli spadać niebiescy jeźdźcy na ziem i leżeli jak wielkie podcięte chabry na miedzy. Ale już z pół setki przesadziło druty i rąbało piechotę rosyjską, która spiesznie zaczęła opuszczać pozycję.

A wtedy leżąca dotychczas, przybita ogniem do ziemi, piechota ruszyła na bagnety!

O zmierzchu liczyliśmy zdobyte działa i karabiny maszynowe!

Działo się 4 czerwca 1920 r. pod wsią Bubny.

ZAWSZE CI SAMI

W Przemyślu oddawna toczy się zacięta walka między tamtejszą sanacją, prowadzoną przez płk. W. Biernackiega, dowódcę 38 p.p.,

a obozem narodowym, któremu z młodszych działaczy przewodzi p. Wł. Bilan, red. „Ziemi Przemyskiej".

Szczególną nienawiścią zieje p. pułkownik do świetnie rozwijającego się Ruchu Młodych O. W. P. Ponieważ pogróżkami, konfiskatami i zakładaniem suchotniczych organizacyj sanacyjnych młodzieży przemyscy piłsudczycy nie zdołali niczego dokazać, przeto postanowili jąć się innych, dotkliwszych sposobów walki.

W tym celu urządzono bandycki napad na powracającego do domu p. Bilana. Kiedy red. Bilan po przeprawieniu się łodzią przez San, dochodził schodami do szczytu brzegu wpadł na niego nagle z góry sierżant 38 p.p., Stanisław Pikar, i uderzył go dwukrotnie kułakiem w głowę. P. Bilan mimo niewygodnej sytuacji (stał niżej) chciał się rzucić na napastnika. Wtedy Pikar pochwycił za bagnet, red. Bilan się cofnął. Zaczęli się zbiegać ludzie, po wylegitymowaniu sprawcy napadu okazało się, że jest to sierż. Pikar i że towarzyszył mu drugi sierżant 38 p.p., Kużyc.

Cały Przemyśl i cały kraj zatrząsł się z oburzenia. Bandycki napad na nieugiętego wyznawcę ideologji narodowej, przywódcę młodych w Przemyślu, spotkał się z ogólnem potępieniem.

Red. Bilan zamieścił po napadzie na łamach „Ziemi Przemyskiej" ciętą odpowiedź, która została skonfiskowana. „Moja odpowiedź" Włodz. Bilana, która winna być wzorem odwagi cywilnej w Polsce, stała się niebawem znana prawie w całości dzięki uchwale oficerów garnizonu przemyskiego, powziętej na rozkaz gen. Wierońskiego (nie bez udziału przemożnego płk. W. Biernackiego) i rozesłanej do prasy przez pułkownikowską agencję „Iskra".

Ni stąd, ni zowąd zebranie oficerów w Przemyślu uchwaliło pod naciskiem swych przełożonych napiętnować i odsądzić od honoru — zgadnijcie, czytelnicy, kogo? Nie napastnika Pikara, który się rzucił na bezbronnego redaktora, tylko p. Bilana za śmiałe wystąpienie przeciw niesłychanym praktykom piłsudczyków.

Uchwała oficerów przemyskich chce wmówić w społeczeństwo, że red. Bilan obraził całą armję polską, że obóz narodowy występuje przeciw korpusowi oficerskiemu.

Co za pomieszanie pojęć!

Z ogłoszonych przez „Iskrę" ustępów artykułu p. Bilana, które stały się podstawą wyroku samozwańczego sądu przemyskiego, wynika jasno, bez żadnych wątpliwości, że „Moja odpowiedź" była wymierzona przeciwko ludziom II-go oddziału, którzy tolerują albo urządzają napady bandyckie w Polsce, nie wahając się używać do nich osobników w mundurach oficerskich. P. Bilan, cytujemy za „Iskrą", wyraźnie adresował: „Zrozumcież ludzie II-go oddziału, tajnych spisków, łajdactw i mordów, oszczerstw i kłamstw... Wy ludzie II-go oddziału, tysiące zapalonych głów pchaliście w ogień armat na chwałę Niemcom, Austrji i sobie... Wy wymordowaliście w 1926 r. w Warszawie trzy tysiące ludzi, aby po rzece krwi dojść do „Astorji" i „Perskiego Oka"... Wy— walety—nożem i kulą bronicie dostępu do koryta, któreście, jak trzoda chlewna i opasła opadli... bandyci znęcający się w mundurach oficer-

skich nad Zdziechowskim... Moralnie z życia naszego państwa zostaliście już razem z waszym „wodzem" doszczętnie wymazani".

Czyż można jaśniej się wyrazić? Gdzież tu mowa o całym korpusie oficerskim? Odkądże to gen. Wieroński zaczął utożsamiać bandytów z korpusem oficerskim? Gdzie Rzym, gdzie Krym? My piętnujemy napastników, którzy w nocy w kilku, plamiąc mundur oficerski, napadają na bezbronnych — oni usiłują wmówić, że to dotyka cały korpus oficerski. My piętnujemy Pikara — oni mówią o wrogim stosunku do całej armji.

Zbyt to jednak przejrzysta gra, aby zdołała wprowadzić rozdźwięk między korpusem oficerskim a narodem.

Nikt nas jednak nie zmusi do składania hołdów bandytom, chociażby częściej jeszcze napadali.

Ostra walka hartuje nas tylko i zbliża do zwycięstwa.

ŻYDOWSKI MONOPOL

Gdy pogłębiający się stale kryzys rolniczy wpływa na malejącą rentowność gospodarstw wiejskich, a niskie ceny, a nawet zupełny brak popytu na wytwory gleby powodują niemożność wykorzystania pewnych artykułów, poważnym środkiem zaradczym jest racjonalna hodowla zwierząt domowych i drobiu, pozwalająca tanim kosztem, dzięki wykorzystaniu nieużytków, na osiągnięcie znacznych zysków.

W Polsce hodowla ta rozwija się dość pomyślnie, a masło i jaja stanowią w bilansie handlowym bardzo poważne pozycje wywozowe. Oczywiście aby eksport tych artykułów osiągnął pożądany cel t. j. przyniósł producentom-rolnikom jaknajwiększą korzyść, konieczną jest taka organizacja aparatu handlowego, aby między producentem i nabywcą zagranicznym była jaknajmniejsza ilość ogniw pośredniczących i, by pośrednik drogą spekulacji i wyzyskania konjunktury nie pozbawiał producenta lwiej części, a nawet całości jego zysku. Idealnym typem uczciwego pośrednika są spółdzielnie, które też opanowały zwłaszcza w Wielkopolsce w większej części wywóz masła, wzrastający obecnie z roku na rok o około 50%.

Inaczej dzieje się z handlem jajami, który koncentruje się przeważnie w województwach wschodnich i znajduje się jeszcze prawie całkowicie w rękach żydowskich. Od producenta-włościanina zakupuje jaja drobny handlarz wędrowny-chałaciarz, poczem przechodzą one jeszcze przez szereg żydowskich rąk, zanim dostaną się do hurtownika, posiadającego prawo eksportu. Prawie wszystkie hurtownie — z wyjątkiem nielicznych spółdzielczych — noszą szumne nazwy w rodzaju — „Poljaj", „Jajopol" i t. p... i należą do żydów, przeważnie analfabetów, a z zasady spekulantów. Zarówno najdrobniejszy detalista, jak i wielki hurtownik żyd nie cofną się przed żadną kombinacją, aby odebrać producentowi jego zysk. Ciemni i niewykształceni znajdą, jednak zawsze dość sprytu, aby nietylko oszukać chłopa dostawcę, lecz by ominąć przepisy standaryzacyjne, gwarantujące gatunek eksportowanego

towaru i zaaranżować jakiś kawał dla odbiorcy zagranicznego, który według przyjętych w tym handlu zwyczajów płaci zgóry 90 lub nawet 100%.

Wywożenie przez hurtownie żydowskie transportów jaj zepsutych lub nieodpowiadających umówionym normom jest na porządku dziennym, a wypadki tego rodzaju ze szczególną przyjemnością sygnalizuje niemiecka prasa fachowa, która oczywiście całą winę przypisuje kontroli rządowej. Ostatni (27) Nr. „Eierbörse" donosi znów o dwóch wypadkach oszukania nabywcy zagranicznego przez żydowskie firmy, któremi są firmy małopolskie: „Bomse" i „Mansberg".

Skutki tej żydowskiej hegemonji dadzą się krótko w ten sposób scharakteryzować:

1) Pozbawienie rolnika polskiego w dobie przeżywanego przezeń kryzysu słusznie mu należnego zarobku

2) Obniżenie ceny jaj polskich zagranicą dzięki oszustwom na szkodę zagranicznego odbiorcy

3) Poderwanie autorytetu rządu polskiego, który przez wprowadzenie norm standaryzacyjnych przyjął gwarancję za jakość wywożonego towaru.

Rozwijający się stale w dziedzinie handlu jajami ruch spółdzielczy staje się poważną groźbą dla rozpanoszonego żydowstwa, popierany jest nawet, wprawdzie niezupełnie śmiało, przez pewne czynniki Ministerstwa Rolnictwa, lecz ewolucja ta jest zbyt powolna, by mogła przynieść radykalną poprawę stosunków. Wszelkie zresztą wysiłki w tym kierunku są systematycznie paraliżowane przez różne wpływowe instytucje gospodarcze, jak izby przemysłowo-handlowe i wolne organizacje gospodarcze.

Obecnie hurtownicy jaj organizują się w związek przy żydowskiej Centrali Związku Kupców w Warszawie pod patronatem znanego ze spraw futrzanych posła Wiślickiego.

Nie wydaje się prawdopodobnem, aby rząd obecny zdecydowanie przystąpił do reorganizacji handlu jajami, cała więc inicjatywa pozostaje w ręku społeczeństwa, a przedewszystkiem sfer rolniczych, które we własnym interesie muszą energicznie zabrać się do ratowania tego zagrożonego odcinka życia gospodarczego.

KRAJ ŻĄDA REFORMY PODATKÓW

Jednym z warunków nieodzownych, a koniecznych, by życie gospodarcze w Polsce mogło się normalnie rozwijać, by uratować od katastrofy gospodarczej rolnictwo, przemysł, handel i rzemiosło — jest szybka reforma podatkowa. Niema chyba w Polsce człowieka, któryby nie narzekał na cisnącą go śrubę podatkową. Ciągle słychać o sekwestratorach podatkowych, których działalność doprowadza do ruiny tysiące obywateli, bywają też wypadki oporu władzy i krwawych rozruchów, które musi uśmierzać wojsko. Reforma podatkowa czekać nie może. Musi ona nastąpić jak najszybciej. Musi polegać przedewszystkiem na obniżeniu dotychczasowych podatków, bo społeczeństwo na-

sze jest zbyt biedne, aby tak wysokie podatki płacić. Rozumiemy dobrze, że płacenie podatków jest podstawowym obowiązkiem każdego obywatela, że Państwo może żądać ofiar pieniężnych od swych obywateli. Ale wtedy, gdy podatki są zbyt wysokie i rujnują warsztaty rolne, przemysłowe, handlowe i rzemieślnicze, które są przecież źródłem bogactwa narodowego, wtedy obywatele mają prawo w interesie samego państwa zażądać od rządu, który lekkomyślnie gospodaruje, by obniżył podatki, zmniejszył wydatki i uratował życie gospodarcze od ruiny.

Ale podatki nietylko są za wysokie, ale są złe, bo nie wszyscy płacą tyle, ileby na nich według zasad słuszności wypadło.

Przepisy podatkowe są niezrozumiałe dla przeciętnego obywatela, terminów płatności jest mnóstwo tak, że nigdy nie wiadomo, kiedy jakiś nowy wyskoczy, wreszcie postępowanie urzędów skarbowych jest bezwzględne, mające jedynie na widoku zapewnienie państwu dochodów, a nie dbające oto, by obywatel mógł normalnie żyć i pracować. To też reforma podatkowa powinna polegać nie tylko na obniżeniu podatków, ale również na zmianie dotychczasowych podatków złych i niesprawiedliwych na podatki dobre i słuszne.

Zdawałoby się, że jednym z pierwszych obowiązków rządu jest przygotować projekt reformy podatków i zwołać sejm, któryby ten projekt uchwalił. Rząd p. Sławka nie tylko, że nic w tej sprawie nie robi, ale różnemi sztuczkami nie dopuszcza do zwołania sejmu, któryby mógł sam dokonać reformy podatków. Miesiące upływają, a poprawy nie widać. Dlatego kraj musi żądać zwołania sejmu właśnie poto, aby reforma ta uchwaloną została i w ten sposób choć jedna z przyczyn katastrofy gospodarczej została usunięta. Społeczeństwo się sejmem nie zachwyca, ale wtedy gdy sanacja wobec klęski stosuje jedynie sztuczki magiczne, społeczeństwo musi żądać zwołania sejmu, który w tej chwili jedynie ma prawo uchwalić zasadnicze reformy.

FRASZKI

DO EUROPY

Stąd ciągłe idą waśnie, w tem zapowiedź boju,
że szwab chce korytarza, sarmata pokoju.
— Jednak, jeśli o sposób na obce się pytasz,
pokój zostaw szwabowi, sarmacie korytarz.

BAJKA O KARPIU

Złościł się raz na karpia rybak, stary wyga,
ze nie idąc na haczyk, w wolnej toni śmiga.
— Widzisz — karp się roześmiał do rybaka zrzędy —
dziś tylko jenerałów łapie się na wendy.

PAKCIARZE

— „Damy Niemcom Pomorze, Śląsk, ziemię poznańską,
byle w ciało przyoblec mrzonkę atamańską...

— Unja! — I federacja! — Wawel... w Berdyczowie!" —
(Polsko! Czy nie masz rady na pet-lurę w głowie?)

NA BANKIECIE

(Jadłospis)

„Bigosik à la Be-Be". Gdy się rozochocim,
do bigosu: „Marszałek", „Dzikówka", „Okocim".
„Rozbartel" (sos sejmowy) i „z wrony kotlety".
„Bitki po carsku". „Rydze". —
Na talerzu wety.

Alfred Kalinka

Z PRASY

W doskonale redagowanym dwutygodniku *Szaniec* (nr. 8 — 9 z 15 lipca b. r.) wystąpił gen. M. Kukiel w obronie przeszłości legjonowej. Autor przeciwstawia się utartym poglądom, które utożsamiają wszystkich legjonistów z różnych brygad z rządzącą dziś i nadającą ton polskiemu życiu piłsudczyzną. Legjony nie były formacją jednolitą. Wiadomo, że ideologja pierwszej i drugiej brygady znacznie się różniła, a i w pierwszej brygadzie nie było jednolitości. Gen. Kukiel stwierdza, że w legjonach spotykało się „dwa typy: żołnierzy, dla których wskrzeszenie wojska polskiego było nietylko środkiem do celu, ale i celem samo w sobie, oraz polityków, wyzyskujących tylko legjony, jako atut i narzędzie politycznej akcji. Pierwsza brygada wychowała nadto typ spiskowca i wywiadowcy—„peowiaka"... Choć wśród polityków najgłośniejsi byli ludzie, sądzący, że są zbyt cenni, aby bić się na froncie, przeważali wśród nich ideowi i ofiarni. Spiskowcy zdobywali się nieraz na trudniejsze od wojskowego, samotne męstwo, a stawali się często tęgimi żołnierzami. Natomiast cała historja legjonów poszła taką drogą, że grupa polityków i spiskowców rosła kosztem masy legjonistów-żołnierzy, że rosło znaczenie tej grupy i umacniała się jej rola kierownicza, a zanikał w niej duch wojskowy. To też na zjazdach legjonistów oddawna na dalszym są planie dawni legjonowi dowódcy pułków, bataljonów, szwadronów, kompanij i bateryj, dowódcy bojowi. Ton nadają politycy, spiskowcy, wywiadowcy, którzy częścią byli niegdyś żołnierzami legjonowymi, częścią zaś chodzili tylko w mundurze legjonów. Oni też—nie żołnierze-legjoniści—stanowią główne kadry dzisiejszego obozu rządzącego i urabiają ogół b. legjonistów na jego narzędzie polityczne".

Poczem, odwracając oczy od przykrej teraźniejszości, przypomina autor rycerskie postacie Herwinów, Pększyców - Grudzińskich, Długoszów, Krynickich, Szumskich—legjonistów, poległych za Polskę, którzy „Od ojczyzny nie żądaliby „nagrody"... Odrzuciliby wszystko coby im dawano, by móc żyć i ofiarnie pracować dla Polski". „O tych przedstawicielach legjonów — pisze gen. Kukiel — tych i im podobnych, myśli się dzisiaj z rozpaczą, że trzeba bronić ich pamięci i całej tej przeszłości przed teraźniejszością, która legjonistów jako obóz polityczny postawiła u władzy i przeciwstawiła większości narodu".

PRENUMERATA DWUTYGODNIKA „SZCZERBIEC":

Rocznie	zł. 8	Kwartalnie	zł. 2
Półrocznie	„ 4	Numer pojedyńczy	gr. 40

CENY OGŁOSZEŃ:

Pierwsza i ostatnia strona:		W tekście:	
1/1 strona	zł. 300.—	1/1 strony	zł. 200.—
1/2 „	„ 150.—	1/2 „	„ 100.—
1/4 „	„ 75.—	1/4 „	„ 50.—
1/8 „	„ 40.—	1/8 „	„ 30.—

Dwutygodnik „Szczerbiec" jest do nabycia we wszystkich kioskach „Ruchu" w Warszawie na stacjach kolejowych oraz u sprzedawców ulicznych.

Redakcja: Warszawa, Lwowska 15 m. 3. wtorki, czwartki godz. 18.30 - 19.30 telefon 446-71.

Administracja: Warszawa, Lwowska 15 m. 3 czynna codziennie w godz. 11—1 i we wtorki, czwartki, piątki od godz. 19-ej do 21. Telefon 446-71.

Redaktor odp.: St. Zieliński. Sekretarz Redakcji: W. Wasiutyński.

Wydawca: Wydawnictwo Szczerbiec" Sp. z ogr. odp. Konto P. K. O. 13.975.

Druk. „Pionier" w Warszawie, Marszałkowska 111. Tel. 401-74, odbito na masz. druk. „Lech", Koszykowa 33.

PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.